Rok II Warszawa, 14 Stycznia 1922 r. Nr. 2

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

TREŚĆ NUMERU:



Cena 40 mk.

Redakcja i Administracja: Kopernika 23. II piętro.
Redaktor i wydawca: I. O. GRABOWSKI.
Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.
Telefon Nr. 91-76

ŻYDZI W WOJSKU

Disraeli (lord Beaconsfield) w Endymionie: „Nikt nie powinien obojętnie traktować zasady rasy. Ona jest kluczem do historji świata. Jedynie dlatego historję tak często zaciemnia, że piszą ją ludzie nie znający się na sprawach rasowych i na związanych z tymiż momentach. Języki i religja nie tworzą rasy — krew ją robi."

Podczas wojny w Niemczech wychodziło wiele broszur przeważnie od rabinów, wykazujących „ogromny" udział żydów w walkach za „ojczyznę niemiecką" na froncie. Te broszury miały na celu wykazać, że ruch antisemicki jest jednocześnie i antipatrjotyczny. Bo jeżeli „ojczyzna" niemiecka ma tylu dzielnych obrońców w żydach, to wniosek jest jasny i niezbity...

Tymczasem na wniosek deputowanego Wernera z Giessen parlament niemiecki zażądał od ówczesnego ministra wojny von Steina sporządzenia urzędowej statystyki żydów wojskowych. Taką statystykę ministerjum wojny zrobiło po dzień 1 listopada 1916 r. Statystyka wykazała zupełne sfałszowanie cyfr w rzeczonych broszurach rabinów. Zupełnie i wprost imponująco bezwstydne.

Oto kilka cyfr urzędowych (do 1 list. 1916 r.):

Straty wojska niemieckiego 11%, żydów (procentowo do ich ilości) 5,4%.

Oficerów Niemców padłych więcej niż 36%, żydów 9%.

Z żołnierzów żydów tylko 34% było na froncie.

3/5 wszystkich żydów, jacy w jakimkolwiek charakterze znaleźli się w obrębie frontu, otrzymało krzyże żelazne.

W służbie u oficerów żydów było dwa razy tyle ile Niemców.

Co czwarty żołnierz żyd był na stanowisku przełożonego.

I tak dalej....

Ta urzędowa ministerjalna statystyka nie była wcale ogłoszona. Wyciągnięto ją prywatnie z aktów, a ogłosił ją Otto Armin p. t. „Żydzi w wojsku, dane statystyczne ze źródeł urzędowych".

Dlaczego statystyki urzędownie nie ogłoszono?

Odpowiedź.

Żydzi berlińscy: Radca Cassel, bankier Warborg, Gothein, senator Meyer, Nathan i inni dali do zrozumienia ministrowi von Steinowi, że, jeżeli statystyka będzie ogłoszona, żydzi rozpoczną kampanję przeciwko pożyczkom wojennym. Pośredniczyli w tych pertraktacjach Niemcy i pułkownik Hoffmann, jenerał Groener i sekretarz stanu Wahnschaffe. Minister von Stein uległ.

Ale przysłowie mówi: „podaj żydowi mały palec, schwyci cię za rękę". Owi żydzi żądali od p. ministra wydania odezwy publicznej o waleczności żydów. Temu żądaniu minister von Stein nie uległ.

Tak się działo w armji niemieckiej, która, jak wiadomo, była oczkiem w głowie narodu i rządu. Cóż się może dziać gdzieindziej, naprzykład u nas, dokąd napłynęły chmary umundurowanego żydostwa galicyjsko-austrjackiego?

Społeczeństwo nie jest poinformowane ani trocha. Dochodzą wieści od mieszkańców Kresów, przy okazji repatrjantów, że roi się tam od oficerów żydów. Sami dowiadujemy się wypadkiem, że np. wysoki dygnitarz wojskowy, jenerał Krzemiński nazywa się Friedman, jest żydem. Dlaczego ta zmiana nazwiska? Czy taka zmiana nazwiska przeszła przez Sejm? W jakim celu takie mistyfikacje?

Żądamy od Sejmowej Komisji Wojskowej, aby zażądała od ministerjum wojny sporządzenia odnośnej statystyki. Bez niej społeczeństwo nie może mieć zaufania, a rząd nie ma prawa takiego zaufania wymagać.

Przytem zwracamy uwagę na konieczność rzeczonej kontroli przy robocie takiej statystyki, kontroli niezbędnej z powodu bezprawnych zmian nazwisk, inaczej statystyka nie miałaby znaczenia dokumentu prawdziwego.

I. O. Grabowski.

MIGAWKI

UWODZENIE WIELKOPOLSKI

Po premierze Ponikowskim, głównie z inicjatywy dr. Wachowiaka i t. p., wybrał się na drugą pielgrzymkę do Canossy sam Naczelnik Państwa, z pełną paradą, a jako że to do Wandei i Beocji Polskiej, więc nawet z „kapelanem przybocznym“ ks. prałatem Tokarskim. Aby te wielkopolskie katoliki wiedziały dokumentnie, jak gorąco wierzącym katolikiem jest głowa Państwa Polskiego, a nie jakimś farmazonem, bezwyznaniowcem i massonem, jak z uporem twierdzą warszawscy żydzi. Wprost z dworca kolejowego udano się do Katedry, gdzie mszę świętą odprawił arcybiskup gnieźnieński, kardynał Dalbor. Pobożni Wielkopolanie mogli się teraz naocznie przekonać, jak to łżą endeki zatracone, jak to pobożnie i żarliwie modli się, klęczy, żegna, całuje Pismo Święte i zanurza dłoń w święconej wodzie ten spotwarzany Naczelnik Państwa, w obronie którego tak namiętnie występuje żydostwo polskie (patrz i czytaj lwowską „Chwilę“, krakowski „Nowy Dziennik“, warszawski „Nasz Kurjer“ oraz całą prasę żargonową i hebrajską w Polsce i w Europie“.

Na bankiecie w zamku wygłosił Naczelnik Państwa mowę, nową mowę. Nawiasem mówiąc najwyższy już czas, aby wszystkie te mowy od r. 1914 wydać w książkowem wydaniu. Mowa poznańska była liryczna, melancholijna, miękka, mileńka i słodka.

Dwa razy o Magdeburgu. Ani razu o Kielcach, Piotrkowie, Krakowie, Wiedniu, Berlinie, Łodzi. Natomiast dwa razy o Magdeburgu. Nawiasem mówiąc, biografowie, a raczej radiografowie Naczelnika, mogliby zająć się więcej tym epizodem z życia Naczelnika Państwa i informując tak pedantycznie o każdej zwycięskiej bitwie swego znakomitego wodza, cokolwiek i ten rok więcej oświetlić.

W mowie poznańskiej jest. jak na wielkiego męża stanu przystało, bardzo wiele przenośni i cytat poetyckich. Jest więc i „zorza zapomnienia" i „ziemia opasana stalowym wężem sił" (sic), „połączona zbitym kompleksem państw potworów" (dosłownie). Są i „paszcze armat" i „łomoczące sztandary" i „głowa przykładana do poduszki" i krwawe róże krwi „zdobiące bruki" i „bezlistne drzewa" (dosłownie), jest mowa o „jeżeli nie najokropniejszej, to najcięższej łapie", o „lekkomyślnym (sic) popędzie do walki" oraz o „szukaniu drogą starcia (?) zmian w życiu narodu".

Ponieważ nawet za czasów Wilhelma II wolno było w absolutystycznych i okrzyczanych za militarno-policyjne państwo Prusach odnosić się krytycznie do megelomańsko-poetycznych ekspektoracji nieszczęsnego ostatniego, czy przedostatniego romantyka na tronie, przeto i nam prawdopodobnie wolno będzie cokolwiek krytycznie odnieść się do tej poetycznej effuzji poznańskiej Naczelnika Państwa. Wychodząc z zasady, że nie każdy znakomity strateg, uwieńczony tyloma laurami, zwycięzca na tylu polach musi być równocześnie i świetnym oratorem, nie przykładamy oczywiście do kokieteryjnej mówki w zamku poznańskim takiej miary, jaką się przykłada do mów takich miernot, jak Foch, Joffre, Briand, Masaryk, Benesz, Clemenceau, Venizelos, Lenin, Wilson. W każdym jednak razie pozwolimy sobie tu zanotować, że jest cokolwiek zanadto natchniona, poetycka, wiośniana, za romantyczna. Taką prozą mówili mężowie stanu i szefowie państw w epoce Byrona i Walter-Scotta. Taką prozą przemawiał może Langiewicz czy Mierosławski; ale taka proza malownicza jest dzisiaj cokolwiek anachroniczną i nie aktualną. Jest to bowiem omal poemat prozą. Przetłomaczony na języki europejskie, czytany przez Cziczerina czy Lloyd George'a musi w tych miernotach wywołać obok, oczywiście, zachwytu, także i usmieszek litosnego sceptycyzmu. Ale nie w tem rzecz. Rozchodziło się o to, aby się to podobalo w Poznaniu. Dwa razy usłyszeli o Magdeburgu. Na końcu zaś: „Powstańcy poznańscy niech żyją! Nie-powstańcy niech wegetują i egzystują! Wielkopolska, jako jednostka, już zmodyfikowana! Więc nie Wielkopolska, gdzie się schronili banici Dmowski i Dowbór. Tylko powstańcy niech żyją!!! Wielkopolska niech żyje przez gardło natchnione by nie przeszło. Tylko powstańcy!..

AFERA SZEBEKO

Naczelnik Państwa wyjeżdża na czas jakiś do Spały, tam gdzie carowie ongiś mieli swoją willegiaturę. Cara zostawia w Belwederze Sam jest ponoś cokolwiek zmęczony, zniechęcony, zdetonowany, nawet rzekomo zgorzkniały. Nowy zakus absolutyczny nie powiódł się i gabinet przeforsował tym razem z dużą dozą odwagi cywilnej swoją wolę wbrew kaprysom jedynowładczym.

Były nasz poseł w Berlinie p. Szebeko nie należy do bezwzględnych wielbicieli każdego gestu i czynu pierwszego marszałka Polski. Do pewnego stopnia jest nawet persona ingrata w kamarylli z tej racji, że wyprawę kijowską nie pochwalał, a Focha i Joffra uważa za wielkich strategików. Nie tail się z tem wcale, i nie chował swego rozumu pod korcem, prawdy nie obwijał w bawełnę, awanturę dyletancką nazywał awanturą. *Inde irae.* I dlatego „senator wypadł z łaski". Że jednak Polska fachowych, rutynowanych dyplomatów z europejską renomą nie ma znowu tak wielu, a genialny Mefisto Askenazy prawnuk czterdziestu cadyków z Radzymina i Wołożyna (patrz artykuły Haftki w Gazecie Krajowej), wszystkich nie zastąpi. przeto w krytycznym momencie postanowiono jednak sięgnąć jeszcze po „Karesskowanego" p. Szebekę i wysłać go do Genewy do Ligi Emerytów, a raczej do Ligi Narodów, aby tam wybronił co się jeszcze da wybronić z wileńskiej sprawy. Być partnerem aroganckiego i antypatycznego z powodu swej efronterji Askenazego nie należy do obowiązków miłych i pociągających. Nawet żydowska „Vossische-Zeitung" broniąca zajadle wszystkich żydów kuli ziemskiej, w liście z Genewy zaznaczyła tę specjalną bufonadę Askenazego. Nie jest też oportunistycznie brać odpowiedzialność za naprawienie czegoś, co ktoś inny zagmatwał.

Pan Szebeko zdecydował się przyjąć dar Danaid z rąk ministra Skirmunta i jechać do Genewy. Tymczasem najniespodziewaniej wystąpiła tu ze swojem liberum veto forçe majeure. I wraz zaczęło się na całe podwórze dzikie ujadanie z „Kurjera Porannego". A to, że „gosudarstwienny", a to że „carski" Szebeko, a to że Cyryla osadzi na Zamku warszawskim, a to o mało że był pomocnikiem Murawiewa Wieszatiela, a to, że dziadek Szebeki podszepnął Katarzynie pomysł rozbiorów Polski, a to, że p. Szebeko wpuści zaraz tylnemi schodami R. Dmowskiego i 400 uzbrojonych endeków, a to że szykuje się nowy zamach na batiuszkę. Trzy dni puszczony z łańcucha ciskał się zapieniony byk Fryzejski. Podjudzał Askenazina żeby ustąpił, zaklinał Michalskiego żeby nie dawał „franków szwajcarskich" na drogę, wreszcie zaczął nawet warczeć na premiera. Znacznie ciszej i taktowniej rzucał się „Robotnik", któremu telefonem też polecono najmiłościwiej brać udział w nagonce na taką Szebekę co ośmiela się nie wierzyć w geniusz militarny nowego Karola

XII. Panu Skirmuntowi oświadczono, że Szebekę pod żadnym pozorem sobie tego nie życzą Robert Ehrenberg i Bertrand von de Friese.

„Aliści” jak mówi z sarmacka p. Askenaze tym razem p. Skirmunt się oparł i co dziwniejsze postawą swoją hardą tak zaimponował gremium ministrów, że cała kompanja jak jeden mąż zawołała wielkim głosem: albo Szebeko będzie, albo my w duraki. Społem! Courages. Kochajmy się! nie dajmy się! Poczem podali sobie dłonie i zaprzysięgli trzymać się solidarnie, choćby gabinet otoczyła wataha Wyzwoleńców z cowboyami Poniatowskim i Bagieńskim na czele i zagroziła im nagłą i niespodziewaną śmiercią.

Jak się rzekło, tak się stało. Z plecami i karkiem już namasowanym przez komplet ministrów stanął p. Skirmunt przed namarszczonym marszałkiem. Papierek z nominacją w lewicy. Albo się podpisze nominację Szebeki albo się podpisze dymisję całego gabinetu. Tertium non datur.

Na takie dictum acerbum chwila namysłu, odczucie momentalne, że się przeholowało conieco i wraz własnoręczny podpis. Było to w tym samym momencie akurat kiedy mama Klatzkina właśnie własnoręcznie pakowała do kufra skarpetki odjeżdżającemu w uroczy kraj Kucowałachów zięciowi.... Jednego i tego samego dnia takie dwie przykrości to zadużo nawet na pomazańca.

Pan Szebeko jest drugim delegatem. Robert i Bertrant czyli Fryze i Ehrenberg nie dali mu rady choć wywijali majchrami i wygrażali swoimi browningami: porannym i wieczornym jak tylko mogli. Okazuje się z tego, że na terror, jaki usiłuje wywierać kamarylla kondotierska na społeczeństwie, sejmie, prasie, ministrach, jedynym odczynnikiem jest energiczny sprzeciw i odwaga cywilna.

Że obrażoną Excellenzę utuli dopiero carska Spała, nie ma się czem martwić. Czasem nawet lepiej, żeby Excellenza trochę więcej spała, niż żeby tak czuwała nad wszystkiem.

„KRAJOWY”

„Na listę nr. 3 głosować będą hrabiowie, obszarnicy, fabrykanci, księża robiący w kościele politykę, paskarze, szmuglerzy, łapownicy, komuniści i wszelkie męty społeczne, które chcą aby w Polsce była anarchia, aby Polska wróciła pod berło moskiewskie, wszyscy wrogowie Polski niepodległej i niezawisłej, wrogowie ziemi wileńskiej, wrogowie ludzi żyjących z pracy rąk, wszyscy wrogowie Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego!”

Dosłownie.

Tak brzmiał tekst odezwy wyborczej wileńskiej rozpowszechnianej 8 stycznia jako dodatek do pisma „Gazeta Krajowa”.

Redaktor „Gazety Krajowej" zowie się L. Chomiński. Takim tonem przemawiał advocatus Serenissimi, filar porządku i ładu obecnego, orędownik J. Piłsudskiego i dawnej Osmołowszczyny, obywatel ziemski, obszarnik i redaktor, „Krajowiec" p. Chomiński. Takich entuzjastów i adorantów, takim stylem wyrażających „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty" ma w swoim rodzinnym mieście, obecny pierwszy prezydent i pierwszy marszałek Rzeczpospolitej.

Teraz niech czytelnik weźmie do ręki listę nr. 3, przeglądnie szereg nazwisk, zaczynających się od arcybiskupa Hryniewieckiego i księdza Maciejewicza, a potem zestawi sobie z epitetami jakimi ich wyborców obdarzył namiętny Belwedurak z Mysikiszek?

Co na to rektor Kochanowski i grono mężów podpisanych na Gwiazdkowej odezwie? Czy nie wypadałoby może wydać drugiej odezwy, potępiającej ten sposób obrony wiernopoddańczej polityki? Czy godzi się „wrogów" Naczelnika Państwa t.j. „obszarników, księży, hrabiów, fabrykantów" w jednym szeregu stawiać „pod ścianką" z paskarzami, szmuglerzami, łapownikami, komunistami.

Przebrali miarę w Wilnie w gorączkowym tygodniu rozmaici działacze. X. Biskup Bandurski (autor słynnego artykułu w wiedeńskiej Reichspost z r. 1915) wiecznie pozujący na księdza Marka Legionów, chronicznie natchniony wizjoner, wyrocznia polityczna wszelkich pensjonarek i ligawek nabroił sporo. Wł. Studnicki von Gisbert zdzierał sobie najspokojniej odezwy na ulicach. Wieczny czwartoklasista polityczny p. W. Abramowicz nagrafomanił też co wlezie w swojem pisemku dla dorastającej młodzieży. Rekord atoli osiągnął organ kantonistów „Gazeta Krajowa", w którym na pierwszych skrzypcach gra usadzony w tej redakcji przez prof. Askenazego mojżeszowy federalista p. Haftka. I nic to wszystko nie pomogło. Nie pomogło obiecywanie przez Odrodzeńców rozdawanie koni, krów i skóry garbowanej z obszarników, tym wyborcom, którzy będą głosowali na listę kantonistów i rzeczników, „greather Lithuania", oddających Puryckisom Wileńszczyznę „bez gwarancji" i „bez zastrzeżeń". Z 18 mandatów stolicy Wileńszczyzny 15 mandatów dostało się dzięki „mętom społecznym", szmuglerom, fabrykantom, hrabiom, łapownikom i „wrogom Naczelnika Państwa" właśnie patrjotycznym obywatelom, nie zachwycającym się geniuszem Babuszki-Babiańskiego jenerała rosyjskiego, ale mimo wszystko ulubieńca radykalji antirosyjskiej. Lista narodowa „ta trzecia" zwyciężyła... Wileńszczyzna będzie mieć autonomię choćby taką jak Górny Śląsk nam przydzielony, ale będzie Województwem a nie Kantonem aszkenazyjskim.

Adolf Nowaczyński.

AVE JUDAEA

Gościnność staropolska witała rodzącą się Judeę, która pragnie skojarzyć małżeństwo „równej z równym": Polski z Sjonem w Stołecznem mieście Warszawie.

Zjazd literatów i dziennikarzy, żydów, witali przedstawiciele komisarjatu rządu i ministr. oświaty, dwa „...bergi" i na własną rękę nie żyd b. wiceminister J. Dąbski.

Pamiętamy, że zjazd polskich literatów i dziennikarzy w Warszawie witał delegat minist. pracy, p. Skoczylas. Wtedy potraktowano ducha polskiego jako chorą duszę, do której się wzywa — konowała.

Teraz dopiero pojęto, że żargonówki to „nasza" oświata.

I życzono im — „powodzenia" w pracy; w pracy, której tło i kanwa są rzetelnie antypolskie; w pracy „poale-sjonistów", którzy przyjęli 21 punktów III międzynarodówki komunistycznej w pracy Grinbaumów.

„Dziad" polski już nie po raz pierwszy zwraca się z dobrem słowem do „obrazu" przedstawiającego rebus „tarczy Dawida" w kombinacji z „gwiazdą bolszewicką".

A „obraz" milczy nie daje dobrego słowa Polsce odrzucającej „partję" z Judeą.

Na zjeździe żargonowo hebrajskim znowu Polska się kłaniała uprzejmie a litwak krzyknął pod jego adresem: „Paskidnik".

Posypało się 5 uchwał antypolskich. Wytaczano urojone pretensje. Nałgano, jakoby żargonówki są bardziej „prześladowane". niż inne pisma. Przemilczano, że dzieje się odwrotnie.

Gdy bowiem w języku polskim komunistyczne gazetki ulegają konfiskacie, to bardzo liczne świstki bundowskie i „poalesjonu" o treści znamienicie bolszewickiej pozostają nietknięte przez władze polskie. Stwierdziły to, przytaczając dosłowne cytaty nie ulegające zakwestjonowaniu, — pisma narodowe: „Rzeczpospolita" oraz „Gazeta Poranna" i „Gazeta Warszawska".

I ci autorowie żydowscy usłyszeli na zjeździe z ust rządu i wolontjera Dąbskiego: „Powodzenia w pracy".

A sami organizatorzy? Były nimi władze żydowskiego Związku literatów i dziennikarzy. Wystarczy mieć jaką taką pamięć, żeby sobie przypomnieć, co względnie niedawno pisma polskie, wyżej wymienione, opowiedziały o antypaństwowej rob cie tego związku.

Za czasów okupacji polskie zrzeszenia tego pokroju nie mogły prowadzić polityki polskiej na własnej ziemi. A teraz żydowski związek cudzej ziemi prowadzi politykę jawnie dla tej ziemi nie przychylną, wrogą.

Polskie zrzeszenia literacko-dziennikarskie nawet teraz we własnem Państwie odrodzonem, nie uprawiają polityki, rozumiejąc że do tego są powołane inne czynniki. Żydowski zaś zwią-

zek w stolicy Polski śmiał ogłosić bojkot, czyli „izolować” jakiego żyda za to tylko, że współdziałał z gen. Żeligowskim w Wilnie. Żydowski związek porównywał za to owego żyda do handlarza żywym towarem i t. d, Żyd ten zresztą tyle tylko zawinił, że redagował żargonówkę wileńską w duchu wskazanym przez rząd Litwy środkowej.

W Bolszewji zaprowadzonoby „pod ściankę” takich antypaństwowców. W krajach cywilizowanych ukaranoby ich w jaki inny sposób. W Polsce zaś ludziom czynnie w Warszawie pomagającym rządowi kowieńskiemu na szkodę Polski, — udziela się pozwolenia na organizowanie zjazdu i życzy — powodzenia.

Ale ci panowie - żydzi byli przynajmniej konsekwentni do ostatka. Na zjeździe nawymyślano władzom polskim iście po sjońsku. Kiedy jednak jakieś „enfant terrible” zgłosiło wniosek, aby także rządowi sowieckiemu powiedzieć słówko prawdy wszyscy żydzi warszawscy struchleli i zdjęli ten wniosek z porządku dziennego.

Karachan może być dumny ze „swoich” żydów warszawskich.

Ale nasz biedny „dziad” polski, dokonywający samobiczowania, wołający: „Ave Judaea”, jakby nic nie miał przeciw formowaniu się Judeo — Polski, — ten „dziad” mówi często do obrazu sjońskiego, który milczy, czekając, aż go Polska „ozłoci” albo on mruknie, burknie, śliną bryzgnie wilki na pomoc wezwie.

W odpowiedzi go witają i życzą mu powodzenia. Sliczny obrazek.

Żor-żor.

PRZYCZYNY KLĘSK ROSYJSKICH

I.

W ciągu czterech lat dyktatury bolszewickiej cały szereg usiłowań ze strony jeneralicji dawnej armji rosyjskiej wyzwolenia Rosji drogą powstania zbrojnego skończył się, jak dotychczas dotkliwą klęską powstańców co oczywiście potęgowało samowładztwo bolszewików.

Fakt ten wciąż interesuje cały świat cywilizowany, który nie może zrozumieć, jakie czynniki utrzymują naród rosyjski pod jarzmem bolszewickiem, które już doprowadziło to do niedawna najpotężniejsze państwo do ostatecznego upadku. Zwłaszcza niezrozumiałą jest rzeczą, dlaczego wszelkie usiłowania, zdążające do obalenia bolszewizmu, nie znajdują oparcia w Rosji, choć takie postępowanie mas rosyjskich możnaby tylko porównać do samobójstwa bo wszystkie powstania kończą się zawsze fiaskiem.

Przyczyny te po raz pierwszy odsłania przed światem literat rosyjski Nażywin, który idąc za radą kiedyś swego mistrza Lwa Tołstoja, niewierzącego w celowość rewolucji rosyjskiej rzekł mu: „Wszystko

to zapisuj najszczegółowiej, najbezstronniej, a potem niech czytelnik sąd wyda".

Nażywin trzyma się tej zasady. Był on skrajnym lewicowcem. Syn ludu, nie porzucił go, pracując na niwie literackiej, nie opuszczał wsi rodzinnej, mieszkając w niej do chwili, gdy już jawnie bolszewik zagrażał jego życiu. Wtedy uciekł z rodziną z Bolszewji, zostając zawziętym ich wrogiem, a gdy po latach istnej męki, wśród prześladowań, przedostał się na Kaukaz, poczuł jak błędne dotychczas wyznawał zasady, jak dalekim lud rosyjski jest od tych wierzeń i ideałów, które on przez całe życie starał się weń wszczepiać i na jakie to manowce zaprowadziło Rosję.

Ewolucja, jaka nastąpiła w pisarzu radykalnym, dokonała się pod wpływem klęsk, które poniosła armja ochotnicza, nie z ręki bolszewików, jak się okazuje, lecz z ręki tegoż narodu rosyjskiego, we wszystkich jego warstwach, którego nie nauczyły żadne nieszczęścia, żadne upokorzenie, podeptanie praw ludzkich i boskich, któremu jest obojętny los ginących pod nożem bolszewickim własnych braci. Jeszcze mniej go obchodzi przyszłość Rosji, byleby zadowolił najgrubsze instynkty materjalistyczne i byleby nie żądano od niego żadnej ofiary.

A teraz streśćmy to, co Nażywin opowiada o przyczynach upadku armji dobrowolnej w przededniu zwycięstwa i wyzwolenia Rosji z pod jarzma bolszewików. Były wódz naczelny armji rosyjskiej, jenerał Aleksiejew, uniknąwszy aresztowania przez bolszewików w czasie przewrotu petersburskiego, już w kilka dnipóźniej, gdyż 15 list. pojawił się w przebraniu cywilnem w Nowoczerkasku, nad Donem, stolicy ziemi kozaków dońskich, gdzie rządził pierwszy ataman z wyboru, jenerał Kaledin. Do tej pary monarchistów rosyjskich wkrótce przyłączył się głośny jenerał Kornilow, który uniknąwszy pościgu po ucieczce z więzienia bolszewickiego w Bychowie, w dniu 19 grudnia zjawił się w Nowoczerkasku w przebraniu emigranta rumuńskiego.

Trójka jenerałów zamieszkała jak na wysepce wśród oceanu zbolszewizowanych stepów kozackich. Sąsiedni Rostów nad Donem jeszcze się chwiał, lecz bolszewicy dokonali tam przewrotu i nastały ostatnie chwile dla Nowoczerkaska. Wówczas Kaledin zebrał kilkuset oficerów oraz junkrów i ruszył do Rostowa, zdobył miasto, wypędzając bolszewików. Ludność powitała go z entuzjazmem. Jednak bolszewicy zaczęli wysyłać nad Don coraz większe siły, które pierścieniem otoczyły Rostów i Nowoczerkask, a jednocześnie kozacy dońscy zdradzili ostatecznie swego atamana Kaledina, który z rozpaczy odebrał sobie życie w pałacu atamańskim w Nowoczerkasku w dniu 11 lutego roku 1918. Sztab mikroskopijnej armji dobrowolnej liczącej po wzięciu Rostowa zaledwo dwa tysiące piechoty i 600 jeźdźców bez taboru, odzieży, żywności, gdy cały zapas środków opatrunkowych stanowiło 10 arszynów gazy na bandaże i funt waty hygroskopijnej, zmuszony został opuścić Rostów i pomaszerował przez śnieg i stepy dońskie kilkaset wiorst na Kubań. Bolszewicy ścigali tą garstkę zaciekle. Jeden ochotnik miał przed sobą po dwudziestu kilku bolszewików, lecz przebili się na Kaukaz zwycięsko i dosięgnęli brzegów rzeki Ku-

bań. Tu zastąpiła im drogę 39 dywizja kaukaska, najzupełniej zbolszewizowana. a zaopatrzona we wszystkie środki techniki bojowej, lecz w bitwie pod stolicą Leżanką, zbolszewizowana dywizja utraciła 500 zabitych, a armja ochotnicza tylko dwudziestu.

W marcu armja ochotnicza powiększona została o kilkuset kozaków kubańskich. W tym czasie bolszewicy zdobyli stolicę ziemi kubańskiej, Jekaterynodar, lecz miało to jednak dobre strony, gdyż załoga tego miasta, cofając się, zlała się z armją ochotniczą. Armją tą dowodził Korniłow i Markow, który z bombą w ręku, wskakiwał do pociągów bolszewickich, by zdobywać pociski, a pocisków działowych armja miała tylko sześćset i przed sobą dziesiątki tysięcy doskonale uzbrojonych bolszewików. Postanowiono zdobyć Jekaterynodar, pod którego murami poległ jenerał Korniłow. Miejsce jego zajął dopiero jenerał Denikin, który dopiero od tej chwili wystąpił na widownię. Nie zdobywszy Jekaterynodaru, Denikin z Aleksiejewem postanowili powracać nad Don tą samą drogą przez stepy. Na szczęście nastała już wiosna, a z nad Donu przyszły już wieści, iż nareszcie kozacy chcą zrzucić jarzmo bolszewickie i że odebrali swoją stolicę, Nowoczerkask, lecz tylko na chwilę, gdyż pospieszyły z pomocą nowe siły bolszewickie. Kozacy wszakże zdołali zdobyć 11 armat i cofnęli się na spotkanie armji Denikina. Połączone siły zaatakowały bolszewików i zdobyły Nowoczerkask, do czego dopomogli partyzanci i grupa oficerska Drozdowskiego. W bitwie tej zginął jenerał Markow. Aleksiejew, opanowawszy z powrotem ziemię dońską, dał trzymiesięczny wypoczynek armji ochotniczej, po czem armja zmuszona zabezpieczyć sobie tyły. jeszcze raz skierowała się na Kubań, by wypędzić stamtąd bolszewików i czerpać zapasy żywności. Z każdym dniem siły armji rosły, a szczęśliwe potyczki i bitwy oddawały w ręce Denikina olbrzymie zapasy broni, pocisków, żywności i taborów, które odbierano bez trudu wielkiego bolszewikom, nazywając ich dostawcami armji ochotniczej.

Dnia 5 sierpnia zdobyto Jekaterynodar, a po jedenastu dniach w rękach armji ochotniczej był już Noworosyjsk. Uzyskano wyjście do Czarnego morza. Ten ostatni fakt znakomicie spotęgował siły i zasoby armji Denikina kierowanej wciąż przez Aleksiejewa. Niestety, w dniu 7-ym października zakończył on życie w Jekaterynodarze, do którego przywieziono go już zupełnie z sił wyczerpanego. Była to dla armji klęska, a na domiar złego nadeszły wieści o kapitulacji Niemiec i wyjściu wojsk niemieckich z Ukrainy Zadnieprzańskiej, przez co odsłoniło się lewe skrzydło armji ochotniczej. A tymczasem Denikin już spokojny o tyły swej armji nad Kubaniem i nad Donem posunął się zbyt daleko naprzód. Trzecią klęską, zdaniem Nażywina, było wycofanie się nagłe wojsk francuskich z Odesy i Krymu tak szybkie, iż oddziały ochotnicze rosyjskie nie zdołały nawet ewakuować się w całości i uratować swoje zasoby.

Straty wśród dawnych doświadczonych jenerałów były coraz dotkliwsze. W Kisłowodzku zamordowali bolszewicy głośnego jenerała Ruzskiego, a Denikin po śmierci Aleksiejewa otrzymał

tytuł naczelnego wodza. Siły armji wprawdzie rosły jak na drożdżach, lecz i straty były wielkie, gdyż dwie wyprawy na Kaukaz pochłonęły 30,000 ofiar.

Odsłonięcie lewego skrzydła od strony Ukrainy Zadnieprzańskiej i ugruntowanie się bolszewików na Krymie i w Odesie zmusiły armję Denikina do cofnięcia się już z pod Tuły i opuszczenia Orła, na prawem zaś skrzydle opuszczono Carycyn, dający armji dobrowolnej kolosalne oparcie nad Wołgą i przewagę na nizinach stepowych. Zdobycie Carycynu kosztowało tysiące ofiar i pochłonęło wiele miesięcy. Denikin zdecydowawszy się cofnąć z powrotem na stepy dońskie nie miał na myśli ustępowania bolszewikom, lecz wzmocnienia sił i skonsygnowania armji, po nowem przegrupowaniu. Możnaby to poczytywać za omyłkę i brak pewności, zwłaszcza, że po drodze chłopstwo wszędzie bez wyjątku witało z entuzjazmem ochotniczą armję i wspomagało ją w miarę możności. Być także może, iż rachuby Denikina, który cofał się przed zimą na stepy urodzajne, w ziemi kozackiej, pełnej dostatku, niezawiodło by go przy zaczęciu na wiosnę ponownej ofensywy, lecz inne nieoczekiwane czynniki stały się powodem ostatecznej klęski, gdy niezadługo rozbita armja Denikina już tylko w pojedynkę szukała ocalenia przed zemstą straszliwą bolszewików. Tym właśnie przyczynom poświęca Nażywin najbardziej interesujące ustępy swych pamiętników.

Denikin nie był ani politykiem ani administratorem i powierzył ze ślepem zaufaniem organizację tyłów armji, oraz ustrój rządowy na odzyskanych terytorjach całej plejadzie monarchistów rosyjskich, którzy zaczęli rządzić po swojemu, a korzystając z praw stanu wojennego na rodzimej ziemi postępowali jak najzawziętsi wrogowie, mściciele obalonego tronu i klas uprzywilejowanych, a o armji zupełnie zapomnieli i ukrywszy się w swych kancelarjach, sprawiali zbrodnicze rządy, które doprowadziły do rewolucji narodowej a teraz nanowo odżyły, tylko w stokroć gorszej, brutalniejszej formie. Przedewszystkiem obiecanych reform konstytucyjnych nikt nie myślał dotrzymać. Zapowiedziana reforma rolna, najbardziej paląca i mogąca pozyskać dla sprawy odrodzenia Rosji całą ludność włościańską i obalić bolszewizm, została rozstrzygnięta połowicznie. Mianowicie powiedziano, że obszarnicy oddadzą tylko połowę swojej własności, oczywiście za wykup, przeciw któremu włościanie zresztą nie protestowali, lecz określenie formy prawnej „połowa", wprawiło w zdumienie zawiedzionych włościan. A więc zarówno chudopachołek na kilkudziesięciu morgach musiał odstąpić połowę swej własności, jak posiadacz dziesiątków tysięcy. Prawo bowiem nie ustanawiało norm posiadania, broniąc drogą wykupu najmożniejszych, dla których było dobrodziejstwem wyzbycia się za pieniądze bezprodukcyjnych obszarów, a niszczyło drobną własność najkulturalniejszą, przepoławiając ziemię i niszcząc gospodarkę. Idea przywrócenia caryzmu była wmawiana na każdym kroku, biuralistyka prześci-

gała się w pomysłach dokuczenia ludności i śmiało współzawodniczyła z biurokratyzmem bolszewików, zatruwających życie ludności formalnościami. Na odpowiedź w najpilniejszych sprawach oczekiwano całemi miesiącami i w końcu nic nie otrzymano. O armji nikt nie myślał, pozostawiając ją własnemu losowi. Dowódcy załóg wewnętrznych bezpieczeństwa publicznego postępowali w sposób urągający prawu i sprawiedliwości, bezpieczeństwo publiczne upadło zupełnie, gdy tysiące dezerterów obsadziło trakta i żyło tylko z rabunku, oblegając wioski. Cofająca się armja Denikina, która posuwając się w głąb Rosji, była przyjmowaną i zaopatrywaną przez ludność, w powrotnej drodze napotykała wioski ogłodzone przez rozbój i łapownictwo, lub też witaną była w sposób bardzo nieprzyjazny przez pokrzywdzoną ludność, która doprawdy nie wiedziała czyje rządy są lepsze: denikińców, czy też bolszewickie.

Armja denikińców na powrotnej drodze topniała z każdą chwilą i zbliżała się ku Czarnemu morzu, ścigana przez potężniejącą armję bolszewicką, w warunkach jaknajfatalniejszych, bez jadła i odzieży w porze zimowej, bo tyły tej armji nie były wcale zorganizowane i nikt o tem wcale nie myślał, w tem błogiem przeświadczeniu, że wojsko ochotnicze powinno żyć własnym przemysłem na drodze powrotnej, jak to było aż do Tuły i Orła, nie potrzebując wcale żadnej pomocy.

W tym czasie zaszła klęska Kołczaka na północnym Wschodzie, zdobycie ponowne przez bolszewików Urala i Syberji, walki z petlurowcami na Ukrainie Zadnieprzańskiej także wywołane nieumiejętną polityką zwalczania samodzielności Ukrainy, wszystko to dobiło armję dobrowolną, pod dowództwem Denikina, której nawet już nie pomogła niespodziewana dywersja pod Petersburgiem armji Judenicza, gdy o 9 wiorst od murów stolicy rosyjskiej stanęły wojska ochotnicze, a bolszewicy ewakuowali spiesznie miasto.

Tak przedstawia przyczyny klęsk rosyjskich wojsk ochotniczych Rosjanin-patrjota. Czy oświetlenie to jest ścisłe i objektywne, trudno w tej chwili określić. Jedno jednak wynika z pamiętników Nażywina jasno, a mianowicie to, że ochotnicze wojska były w tym samym stopniu niemal zarażone duchem rozkładu i upadku moralnego co i bolszewicy.

M. Z.

BEZ KOMENTARZY

(TRAGEDJA DNI OSTATNICH).

W 1918 roku ś. p. dr. Białobrzeski, major rez. W. P., odnajął mieszkanie 4-pokojowe przy ulicy Szpitalnej № 1 m. 4. W grudniu 1919 roku wyjechał na front do Dynaburga. W 1920 roku podczas jego nieobecności redaktor „Narodu“, Tadeusz Szpotański, rozpoczął zabiegać o objęcie lokalu, przy ul.

Szpitalnej 1 m. 4, grożąc przez porucznika Lindera rekwizycją lokalu. Dla uniknięcia zatargu major B. dobrowolnie ustąpił jeden pokój na potrzeby redakcji „Narodu“. Pomimo tego p. Szpotański, ze szwagrem swym, ppułk. żand. Harasimowiczem, postarali się o nieprawną rekwizycję mieszkania majora w lipcu 1920 roku.

Nie czekając przeprowadzenia sprawy rekwizycji w Min. Spraw Wewnętrz., ppłk. Harasimowicz siłą, przy pomocy podwładnych mu żandarmów, zajął mieszkanie, meble majora z 4 pokojów zgromadził w jednym pokoju, pozostawiając dla siebie łóżko, biurko, stół, krzesła (rzeczy należące obowiązkowo do kompletu mieszkań rekwirowanych). Ppułk. Harasimowicz nie poprzestał jednakże na tem i przysłał ordynansa swego z żandarmem, żądając otwarcia drzwi do pokoju, zawierającego złożone rzeczy majora i wydania dwóch otoman, krytych perskim dywanem i stołu jadalnego, które to rzeczy przez czas rekwizycji zostały całkowicie zniszczone. Na wszelkie protesty, odmawiające wydania powyższych przedmiotów, ppłk. Harasimowicz przez tychże żandarmów przysłał piśmienny nakaz niezwłocznego wydania rzeczy, przyczem owi żandarmi grozili ś. p. mjr. Białobrzeskiemu stanem wojennym i że w razie oporu ppłk. Harasimowicz mocen jest „schować go tak, iż i świata Bożego nie nie będziecie oglądać“. Świadkowie tych rozmówek żyją.

Major Białobrzeski po przyjeździe do Warszawy zwrócił się do Najwyższej Kontroli Wojskowej i do Sądu Wojskowego na placu Saskim o rozpatrzenie postępowania ppułk. Harasimowicza. Równocześnie z zarekwirowaniem mieszkania przez ppłk. Harasimowicza i odcięcie wejścia tamtego, redakcja „Narodu“ w osobie p Szpotańskiego robiła wszelkie szykany i utrudniała używanie wspólnego wejścia, o czem znów świadczy list p. Szpotańskiego. Przy drzwiach, wiodących do majora, urządzono skład pak, desek, krzeseł, tak, że major każdorazowo zmuszony był najmować ludzi, by usuwali owe barykady.

W tym czasie mjr. Białobrzeski wyjechał na służbę do Pucka.

W grudniu 1920 roku ppułk. Harasimowicz, wyjeżdżając na święta do Lwowa, oddał klucz od zarekwirowanego mieszkania stróżowi, Władysławowi Baranowi, któremu zapowiedział, że klucze będą w Komendzie Miasta. Wspomniany Baran, objąwszy owo mieszkanie, urządzał tam noclegi zabawy i schadzki, co stwierdziła Najwyższa Kontrola Wojskowa. Równocześnie Kontrola zarządziła zdjęcie rekwizycji z mieszkania majora Białobrzeskiego i oddanie go właścicielowi. Decyzja ta była przesłaną zarówno majorowi B. do Pucka, jak i ppułk. Harasimowiczowi do Lwowa, oraz Wydziałowi Kwaterunkowemu, Miodowa 17.

Wydział Kwaterunkowy nie wykonał zlecenia Najwyższej Kontroli Wojskowej, lecz przeciwnie, porucznik Kenigel dał słowo, że wydział Kwaterunkowy podobnego zlecenia nie otrzy-

mał i w kwietniu 1920 roku mieszkanie majora ponownie cddano kapitanowi Władysławowi Kalińskiemu z wydziału budowlanego m. Warszawy, pominąwszy reklamację siostry majora Białobrzeskiego, która stwierdziła, że brat wraca wkrótce na stałe do Warszawy. Kapitan Kaliński zajął więc mieszkanie majora, pomimo, że rozkazem Kontroli Najwyższej lokal ten uchylony był od rekwizycji. Major zaś wróciwszy wszczął starania o odzyskanie swego mieszkania. Komenda miasta i Wydział Kwaterunkowy robiły wszystko, by majorowi utrudnić zwrot lokalu. Chcąc w kuchni umieścić swego ordynansa, major Białobrzeski usunął stróża, Barana, wówczas Komenda miasta, sposobem polubownym w osobie generała Suszyńskiego zaproponowała majorowi wspólną używalność kuchni, na kilka dni, dopóki kpt. Kaliński nie otrzyma innego mieszkania.

Major Białobrzeski zgodził się na to niebacznie. Lecz kpt. Kaliński siłą wyrzucił ordynansa majora z kuchni, a zainterpelowany generał Suszyński oświadczył jedynie, iż za kilka dni kapitan będzie przeniesiony. „Kilka dni“ tymczasem ciągnęło się od maja do listopada 1921 roku.

W tym czasie major Białobrzeski poddał się operacji wyjęcia odłamka szrapnelu w szpitalu Ujazdowskim. Jako rekonwalescentowi należała się cisza i wypoczynek po 7-letniej wojnie — w rzeczywistości nie miał dachu nad głową. Wtenczas zwrócił się do Wydziału Kwaterunkowego z prośbą o zwrot lokalu i przeniesienie kpt. Kalińskiego — porucznik Gedronowicz odpowiedział, że majorowi mogą dać jedynie numer w hotelu. Gdy radę tę poczęłam kwestjonować, usłyszałam odpowiedź — „My wiemy co robimy”.

Kapitan Kaliński porozumiał się z „Narodem” i wspólnie robili wszelkie szykany i przykrości majorowi. Panowie Szpotański i Medard Downarowicz wydali kap. kwit, opiewający, że mieszkanie to kapitan prywatnie odnajmuje (zarekwirowane Białobrzeskiemu). Na co Komenda orzekła, że sprawy nie będzie rozpatrywać, ponieważ nie wie, kto jest właścicielem mieszkania, pominąwszy kwity z 1918 roku, oraz poprzednią rekwizycję. Major Białobrzeski udał się do Naczelnika Państwa, do Ministra Wojny Sosnkowskiego, do generała Rozwadowskiego i zewsząd Komenda Miasta otrzymywała nakazy przeniesienia kapitana, a zwrotu mieszkania majorowi. To samo oświadczyło i Minist. Spraw Wew. Komenda Miasta odpowiedziała, że decydować nie może i sprawę niech sąd rozstrzyga. Wówczas major zwrócił się do sądu pokoju. W sądzie 26 września kapitan Kaliński i stróż Baran złożyli kwity do redakcji „Narodu” Medarda Downarowicza, że komorne płacą redakcji „Narodu“. Sąd nie uwzględnił tego, oparłszy się na kwitach z 1918 roku i nakazie rekwizycyjnym i polecił mieszkanie opróżnić. Major zwrócił się z wyrokiem do Komendy Miasta, na co ta ostatnia odpowiedziała, że kap. Kaliński ma jeszcze dwie instancje sądowe, skutkiem czego spra-

wa może się przeciągnąć. Tu nasuwa się pytanie? Jaką instytucją jest Komenda Miasta? Czy celem jej jest sprawiedliwe wypełnianie obowiązków, czy też celowe popieranie osób w rodzaju ppuł. Harasimowicza i kpt. Kalińskiego? Kapitan Kaliński nie skorzystał wszakże z autorytetu II instancji, lecz w końcu października wyprowadził się, klucze oddając Downarowiczowi, który zajął mieszkanie, stawiając swoje rzeczy, i począł pertraktować z doktorem Białobrzeskim, żądając oddania dużego pokoju o trzech oknach wzamian za klucze od całego mieszkania. Doktór o klucze udał się do Komendy Miasta, lecz tę sprawa już nic nie obchodziła, a policja oświadczyła, że niema władzy nad wojskowymi. Doktór zmuszony ostatecznością zgodził się na warunek Downarowicza i dostał klucze od swego lokalu. Po naradzie zaś ze swym adwokatem i po rozpatrzeniu się po dwóch małych pokoikach, w których dla lekarza przyjmującego u siebie zbyt mało miejsca było, cofnął rejentalnie obiecany pokój. Wezwanie owo było w następujący sposób zredagowane: „po wymuszeniu podstępem—cofa to przyrzeczenie".

P. Downarowicz przez adwokata Boguckiego, przekonywał Białobrzeskiego, że o ile ten nie ustąpi z mieszkania, to za potwarz wtrąci go do więzienia, jako brat ministra.

— — — — — — — — — — — — —

Epilog tej smutnej sprawy rozegrał się niedawno. Dr. Białobrzeski, człowiek 53-letni, zasłużony lekarz i żołnierz, nie mogąc ordynować, co było jedynem źródłem jego dochodów—odebrał sobie życie.

J.

Cena pojedyńczego egzemplarza **40 mk.** Prenumerata kwartalnie **mk. 480**, półrocznie **960**, rocznie **1920.** Zagranicą **2880.**
Ceny ogłoszeń: Za wiersz milimetrowy lub jego miejsce na II stronie **mk. 130**, na przedostatniej **100 mk.**, na ostatniej **110 mk**. (3 szpalty).
Konto czekowe w P. K. U. Nr. 3105.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska" Warszawa, Szpitalna 12.